



JACK REACHER

**LEE
CHILD**

**CZASAMI WARTO
UMRZEĆ**



ALBATROS

Tytuł oryginału:
WORTH DYING FOR

Copyright © Lee Child 2010
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2012

Redakcja: Beata Stama

Zdjęcia na okładce: Johnny Ring Photography (*postać*), © Alamy/BE&W (*tł*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey/TW

Projekt graficzny okładki polskiej: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

W chwili gdy zadzwoniła komórka, Eldridge Tyler jechał długim, prostym odcinkiem szosy w Nebrasce. Było późne popołudnie. Zabrał wnuczkę do sklepu, żeby kupić jej nowe trampki, i teraz odwoził ją do domu. Jego silverado z drugim rzędem siedzeń w szoferce było w szaroburym kolorze gazety z poprzedniego dnia, dziewczynka leżała na tylnym siedzeniu, ale nie spała. Trzymała wyciągnięte w górę nogi i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się zafascynowana w wielkie białe adidasy, mając nimi pół metra nad twarzą i wydając dziwne dźwięki. Miała osiem lat i Tyler podejrzewał, że wnuczka jest lekko opóźniona w rozwoju.

Komórka Tylera nie była zbyt nowoczesna, ale pozwalała przypisać różne dzwonki do różnych numerów. Większość numerów dzwoniła standardowym brzęczykiem producenta aparatu, ale czterem przypisano dźwięki z kategorii alarmowych, takich jak syrena wozu strażackiego czy syrena sygnalizująca zanurzenie łodzi podwodnej. I właśnie taka syrena odezwała się w komórce Tylera tamtego późnego popołudnia, podczas jazdy długim, prostym odcinkiem dwukierunkowej szosy w Nebrasce, piętnaście kilometrów na południe od sklepu i trzydzieści kilometrów na północ od domu. Sięgnął po aparat przyczepiony do deski rozdzielczej, nacisnął guzik, przyłożył do ucha i mruknął: „Tak?”.

- Możesz być nam potrzebny – usłyszał męski głos.
- Znowu? – zdziwił się Tyler.
- Ty i twoja strzelba. Jak poprzednio.
- Powiedziałeś „możesz”?
- Na razie to tylko ostrzeżenie.
- A co się dzieje?
- Kręci się jakiś facet.
- Blisko?
- Trudno powiedzieć.
- Ile może wiedzieć?
- Coś wie. Ale nie wszystko.
- Co za jeden?
- Nikt. Przyjezdny. Po prostu facet. Ale węższy. Sądźmy, że to były wojskowy. Chyba służył w żandarmerii. Może nie wyzbył się żandarmskich przyzwyczajęń.
- Jak dawno temu służył?
- Kupę lat.
- Jakieś powiązania?
- O żadnych nam nie wiadomo. Nikt za nim nie zatęskni. Bez stałego adresu. Praktycznie bezdomny włóczęga. Przywiało go tu jak śmiecia. A teraz musi wywiać.
- Jak wygląda?
- Byczysko. Co najmniej metr dziewięćdziesiąt i na oko ze sto dziesięć kilogramów. Ostatnio widziany w starej brązowej kurtce z kapturem i wełnianej pilotce. Dziwnie sztywno chodzi, jakby go coś bolało.
- Dobra – mruknął Tyler. – To gdzie i kiedy?
- Chcemy, żebyś popilnował stodoły. Jutro przez cały dzień. Nie możemy dopuścić, żeby dostał się do środka. Nie teraz. Jeśli się go nie pozbędziemy dziś wieczorem, to się w końcu kapnie. Polezie tam i zacznie węszyć.
- Sądźisz, że polezie tak sobie?
- Myśli, że jest nas czterech. Nie wie o piątym.
- To dobrze.

- Namierz go i zastrzel.
- Zrobię to.
- Tylko nie spudłuj.
- A kiedyś spudłowałem?

Tyler rozłączył się, umieścił komórkę na desce rozdzielczej i lekko przyspieszył. W lusterku widział adidas y wnuczki, przed sobą i za sobą miał pustkę zimowych pól z zapadającymi ciemnościami po lewej i zachodzącym słońcem po prawej.

• • •

Stodołę zbudowano dawno temu, jeszcze w czasach, gdy średniej wielkości drewniane zabudowania gospodarskie uważano za najwłaściwsze dla rolnictwa w Nebrasce. Później zastąpiono je wielkimi konstrukcjami stalowymi, które stawiano w miejscach dobieranych wyłącznie pod kątem logistyki transportowej. Ale stara stodoła wciąż stała, powoli chyląc się ku upadkowi, murszejąc i coraz bardziej zapadając. Otaczał ją duży dziedziniec pokryty starą masą bitumiczną, spękaną i wyboistą po latach zimowych mrozów i letniej spiekoty, ze szparami porośniętymi przez chwasty. Wrota zrobiono z masywnych drewnianych belek scalonych stalowymi sprzęgami, zawieszono na stalowej szynie i zaopatrzone w stalowe kółka, jednak stopniowe zapadanie się budynku spowodowało, że kółka zakleszczyły się w prowadnicach i wrót nie dawało się już przesunąć. Do środka można się było dostać tylko przez niewielkie drzwi, które umieszczono we wrotach nieco na lewo od środka. Były tak małe, że zmuszały dorosłego mężczyznę do pochYLENIA głowy.

Eldridge Tyler obserwował je przez lunetkę na strzelbie. Zajął pozycję godzinę przed czasem, długo przed świtem, bo takie postępowanie uznawał za roztropne. Był człowiekiem cierpliwym, słownym i bardzo skrupulatnym. Zjechał swoim silverado z szosy, skręcił w wyboisty trakt wyżłobiony przez traktory i zaparkował w pozbawionej przedniej ściany starej

szopie, której używano do składowania jutowych worków z nawozami, by je ochronić przed wiosennymi deszczami. Ziemia była zmarznięta na kamień i jego przejazd nie wzniecił tumanów kurzu ani nie pozostawił śladów. Zgasił wielki ośmiocylinnowy silnik, zawrócił do wjazdu do szopy i przez całą jego szerokość przeciągnął cienki przewód w czarnej plastikowej osłonce, umieszczając go na wysokości połowy łydki rosnącego męczyzny.

Potem zawrócił do pick-upa, wspiął się na skrzynię ładunkową, z niej na dach szoferki i umieścił strzelbę i dużą brezentową torbę na półce pod dwuspadowym daszkiem szopy, tworzącym coś w rodzaju stryszku. Sam też ułożył się na półce i uniósł lekko żaluzję na wywietrzniku w szczytowym fragmencie ściany. Wiedział, że gdy tylko się rozjaśni, będzie miał stąd doskonały widok na stodołę, oddaloną dokładnie sto dziesięć metrów od szopy. Nie był to żaden szczęśliwy przypadek. Znalazł tę kryjówkę wiele lat temu, gdy jego czterej przyjaciele po raz pierwszy zwrócili się do niego o pomoc, i miał czas dokładnie ją obejrzeć i przygotować. Wbił gwoździe do zaczepienia pułapki z drutu, zmierzył krokami odległość do stodoły i poluzował żaluzję na wywietrzniku. Teraz ułożył się wygodnie na półce pod dachem, opatulił, jak mógł, przed zimnem i zaczął czekać na wschód słońca. Istotnie wkrótce wzeszło, blade i anemiczne.

Posługiwał się strzelbą Grand Alaskan, produkowaną w Ameryce przez firmę Arnold Arms Company. Komora mieściła pociski Magnum kalibru trzysta trzydzieści osiem, lufa miała sześćdziesiąt sześć centymetrów długości, kolbę wytoczono z angielskiego orzecha. Kosztujące siedem tysięcy dolarów cacko wystarczało, by zabić niemal wszystko poruszające się na czterech łapach, i było aż za dobre na cele dwunożne. Lunetka Ultravid firmy Leica za dziewięćset dolarów miała standardowy krzyżyk celowniczy na siatce w okularze. Tyler ustawił zbliżenie na dwie trzecie zakresu, dzięki czemu pole

widzenia na odległość stu dziesięciu metrów obejmowało obszar o średnicy około trzech metrów. Białe słońce wisiało nisko nad horyzontem i jego łagodne szarawe światło rozchodziło się niemal poziomo nad uśpioną okolicą. Później miało się nieco wzniesć i zaraz po południu rozpocząć wędrówkę w dół ku zachodowi. Było mu to bardzo na rękę, bo oznaczało, że nawet ubrany na brązowo cel będzie przez cały dzień dobrze widoczny na brunatnym tle drewnianych belek.

Tyler założył, że jego cel jak większość ludzi jest praworęczny i ustawi się trochę na lewo od środka, by móc sięgnąć prawą ręką do skobła drzwi we wrotach. Założył także, że ktoś obolały i usztywniony podejdzie możliwie najbliżej drzwi, by do maksimum ograniczyć ruchy. Miały niecały metr osiemdziesiąt wysokości, ale ponieważ umieszczono je w przesuwanych wrotach, ich dolna krawędź znajdowała się jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Środek głowy kogoś o wzroście metr dziewięćdziesiąt znajduje się mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć nad ziemią, a to oznaczało, że idealny punkt celowania na osi pionowej znajduje się piętnaście centymetrów poniżej górnej krawędzi drzwi. Mężczyzna ważący sto dziesięć kilogramów musi być szeroki w barach, więc środek jego czaszki w chwili otwierania drzwi znajdzie się jakieś czterdzieści pięć centymetrów w lewo od prawej ręki, to zaś oznaczało, że należy przyjąć punkt celowania na osi poziomej około piętnastu centymetrów od lewej krawędzi drzwi.

Piętnaście centymetrów poniżej górnej krawędzi, piętnaście centymetrów w bok od lewej krawędzi. Tyler sięgnął za siebie i wyjął z torby dwa woreczki długoziarnistego ryżu. Oba kupił dopiero co w sklepie spożywczym, po dwa i pół kilograma każdy. Ułożył je przed sobą i wcisnął w nie wypolerowaną podstawę lufy z drewna orzechowego. Przytknął policzek do kolby i wpatrując się w krzyżyk celowniczy w lunetce, ustawił go na lewy górny narożnik drzwi, przesunął lekko w dół i lekko w lewo i delikatnie położył palec na spuście. ZaczERP-

nął głęboko powietrza i wypuścił. Słyszał, jak stojący pod nim pick-up cicho trzeszczy w miarę stygnięcia, roztaczając woń benzyny i spalin, zmieszaną ze stęchłym zapachem kurzu i butwiejącego drewna. Słońce powoli się wznosiło i robiło się coraz jaśniej. Powietrze było wilgotne i ciężkie, zimne i gęste. Takie, w którym piłka baseballowa nie wylatuje poza płytę boiska, a oblepiony nim pocisk trafia pewnie do celu.

Tyler czekał. Wiedział, że może przyjdzie mu czekać cały dzień, i był na to gotowy. Nigdy nie brakowało mu cierpliwości. Skracał sobie czas, wyobrażając sobie możliwy przebieg wydarzeń. Wyobrażał sobie, jak rosły mężczyzna w brązowej kurtce wkracza w pole widzenia lunetki, nieruchomieje, potem odwraca się plecami i kładzie rękę na skoblu.

W odległości stu dziesięciu metrów od niego.

Jeden celny strzał.

I po sprawie.

2

Rosły mężczyzna w brązowej kurtce z kapturem nazywał się Jack Reacher i dla niego wszystko zaczęło się wczesnym wieczorem od dzwonka telefonu sześć kilometrów dalej. Telefon zadzwonił w recepcji motelu przy skrzyżowaniu dróg, gdzie wysadził Reachera kierowca, który go podwiózł. Teren wokół był ciemny, martwy i zupełnie płaski. Motel stanowił jedyny przejaw życia w zasięgu wzroku. Został zbudowany czterdzieści lub pięćdziesiąt lat wcześniej na fali inwestycyjnego entuzjazmu. Może wówczas istniały plany szybkiego rozwoju regionu, których nigdy nie zrealizowano, a może od początku był to poroniony pomysł. Na drugiej ćwiartce skrzyżowania sterczały resztki niedokończonej i opuszczonej stacji benzynowej, na trzeciej widać było fundamenty pod jakąś rozległą budowlę – duży sklep czy może nawet niewielkie centrum handlowe – która nigdy nie powstała. Czwarta ćwiartka była zupełnie pusta.

Ale motel jakoś przetrwał. Całość miała dość dziwaczny wygląd i kojarzyła się Reacherowi z rysunkami z komiksów dla chłopców o wyprawach na Księżyc lub Marsa i wznoszonych tam koloniach osadników. Główny budynek był rotundą z kopulastym dachem, za nią ciągnął się rząd domków o takim samym kształcie, które zataczały lekki łuk, stopniowo malejąc, co sztucznie podkreślało perspektywę. Większe domki,

blżej głównej rotundy, były przeznaczone dla rodzin z dziećmi, mniejsze i bardziej oddalone dla par i pojedynczych gości. Ściany wszystkich pomalowano srebrzystą farbą, przy oknach i drzwiach domków sterczały aluminiowe elementy imitujące anteny. Wszystkie tonęły w niesamowitej niebieskawej poświacie, rzucanej przez świetlówki ukryte pod okapami daszków. Ścieżki wysypano szarym żwirem i obramowano drewnianymi listwami, także w srebrnym kolorze. Słup z szyldem motelu obudowano sklejką pomalowaną na srebrno i tak ukształtowaną, by imitowała raketę kosmiczną na trójnogu wąskich skrzydełek. Nazwę Apollo Inn namalowano literami przypominającymi liternictwo stosowane na czekach bankowych.

Niemal całe wnętrze głównej rotundy było otwartą przestrzenią i tylko w głębi wydzielono fragment z wejściem do biura motelu i dwójgim drzwi prowadzących zapewne do toalet. Na prawo od wejścia znajdował się łukowaty kontuar recepcji, po przeciwnej stronie umieszczono identycznie zakrzywiony bar. Całość pomieszczenia o mniej więcej trzydziestometrowej średnicy pełniła funkcję salonu z niewielkim parkietem do tańca i kilkunastoma stolikami, każdy z własną lampką z abażurem z frędzlami i krzesłami wyściełanymi czerwonym pluszem. Wewnętrzną stronę kopulastego dachu stanowiła pusta czasza podświetlona czerwonymi neonówkami. Poza tym w pomieszczeniu było jeszcze mnóstwo ukrytych punktów świetlnych, a wszystkie świeciły na czerwono lub różowo. Z wmontowanych w ściany głośników płynęły ciche dźwięki pianoli. Całość sprawiała dość niesamowite wrażenie i zapewne miała nawiązywać do Las Vegas z lat sześćdziesiątych, które ktoś przeniósł w przestrzeń kosmiczną.

Nie licząc jednego gościa i barmana, w całym pomieszczeniu nie było nikogo. Reacher stanął przy recepcji, barman przeszedł za kontuar recepcyjny i gdy Reacher spytał o nocleg, na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby

nieczęsto słyszał takie pytania. Szybko się jednak opanował i po zainkasowaniu trzydziestu dolarów w gotówce wręczył Reacherowi klucz. Miał pięćdziesiąt pięć, może sześćdziesiąt lat, nie był zbyt wysoki ani zbyt szczupły, jego głowę zdobiła czupryna poparbowana na rdzawy kolor, który Reacherowi kojarzył się bardziej z Francuzkami w pewnym wieku. Mężczyzna schował trzydzieści dolarów do szuflady i z namaszczaniem odnotował przychód w wielkiej księdze. Zapewne był spadkobiercą pomyślników, którzy to wszystko zbudowali. Zapewne też przez całe życie nie ruszył się stąd na krok i nie pracował nigdzie indziej, a tu wiązał koniec z końcem, pełniąc pięć funkcji naraz: kierownika, recepcjonisty, barmana, złotej rączki i pokojówki. Zamknął księgę, schował do szuflady i ruszył w stronę baru.

– Macie tu kawę? – spytał Reacher.

Mężczyzna odwrócił się, uśmiechnął i z widoczną satysfakcją rzucił: „Jasne”, jakby podjęta kiedyś decyzja, by co wieczór trzymać w gotowości filtracyjną zaparzakę do kawy, znalazła wreszcie uzasadnienie. Reacher ruszył za nim przez neonową poświatę i usiadł na stołku trzy miejsca od jedyne go klienta. Klient był mężczyzną około czterdziestki i miał na sobie grubą tweedową marynarkę o sportowym kroju, ze skórzanymi łatami na łokciach. Łokcie trzymał oparte o kontuar, dłońmi oplatał szklankę z bursztynowym płynem i kostkami lodu. Siedział z pochyloną głową i tępym wzrokiem wpatrywał się w zawartość szklanki, zapewne nie pierwszej tego wieczoru. Może nawet nie trzeciej i nie czwartej. Twarz miał pokrytą kropelkami potu i wyglądał na nieźle wstawionego.

Barman z rdzawymi włosami nalał kawę do porcelanowego kubka z emblematem NASA i ostrożnie przesunął po blacie. Kubek mógł stanowić dla niego bezcenny antyk.

– Śmietanka? – spytał. – Cukier?

– Nie i nie – odrzekł Reacher.

– Nocleg w drodze?

- Mam zamiar wyruszyć na wschód najwcześniej, jak się da.
- Jak daleko na wschód?
- Do końca. Do Wirginii.

Barman z farbowaną czupryną pokiwał ze zrozumieniem głową.

– A więc musi pan najpierw pojechać na południe. Aż do międzystanowej.

- Taki mam zamiar – potwierdził Reacher.
- Skąd pan jedzie?
- Z północy.
- Samochodem?
- Autostopem.

Facet z kolorowymi włosami zamilkł, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Barmani lubią w swoich barach pogodną atmosferę, a ten temat nie zapowiadał się zbyt pogodnie. Złapanie okazji w środku zimy na bocznej drodze, w stanie zajmującym czterdzieste pierwsze miejsce pod względem gęstości zaludnienia wśród pięćdziesięciu stanów Ameryki, nie mogło być łatwe, uznał więc, że lepiej będzie głośno tego nie mówić. Reacher uniósł kubek, próbując utrzymać go bez ruchu. Taki sobie sprawdzian. Nie wypadł najlepiej. Wszystkie ścięgna, więzadła i każdy mięsień od końców palców po klatkę piersiową piekły i bezustannie drgały, a na powierzchni kawy tworzyły się małe koncentryczne kręgi. Zebrał się w sobie i przytknął kubek do ust, starając się to zrobić spokojnym, płynnym ruchem, ale wyszło mu nerwowe, niezbyt opanowane szarpnięcie. Pijak przy barze przez chwilę mu się przyglądał, po czym bez słowa odwrócił głowę. Kawa była gorąca i za długo stała, ale zawierała kofeinę, a o to Reacherowi głównie chodziło. Pijak upił łyk, odstawił szklankę na tekturową podstawkę i wpatrzył się w nią smętnie. Usta miał lekko rozchylone i w kącikach utworzyły się pęcherzyki śliny. Upił kolejny łyk, Reacher zrobił to samo, tym razem spokojniej. Wszyscy trzej milczeli. Pijak wysączył szklankę do końca i dostał nową porcję. Burbon Jim Beam,

co najmniej potrójna miarka. Drżenie ręki Reachera nieco się uspokoiło. Na kawę zawsze mógł liczyć.

I wtedy zadzwonił telefon.

A właściwie dwa równocześnie. Widocznie do jednej linii podłączono dwa aparaty – jeden na ladzie w recepcji, drugi na półce za barem – i zadzwoniły oba. Pracujący na pięć etatów facet z kolorowymi włosami nie mógł być wszędzie. Podniósł słuchawkę i rzucił: „Motel Apollo Inn” z takim entuzjazmem, jakby odbierał pierwszy telefon w dniu uroczystego otwarcia motelu. Przez chwilę słuchał w milczeniu, potem przyłożył słuchawkę do piersi i powiedział:

– To do pana, doktorze.

Reacher odruchowo spojrzął za siebie, ciekawy, do kogo barman mówi, ale nikt za nim nie stał. Za to odezwał się siedzący przy barze pijak:

– Kto?

– Pani Duncan – odrzekł barman.

– Co jej jest?

– Ma krwotok z nosa i nie może go zatamować.

– Powiedz, że mnie tu nie ma.

Barman przekazał kłamstwo i odłożył słuchawkę. Siedzący przy barze zapadł się w sobie i jego twarz niemal zrównała się z krawędzią szklanki.

– Jest pan lekarzem? – zapytał Reacher.

– A panu co do tego?

– Pani Duncan jest pańską pacjentką?

– Formalnie rzecz biorąc.

– I ją pan olewa?

– Coś pan za jeden? Komisja etyczna? Leci jej z nosa krew.

– Której nie może zatamować. To może być coś poważnego.

– Ma trzydzieści trzy lata i jest okazem zdrowia. Ani śladu nadciśnienia czy wad serca. Nie jest narkomanką. Nie ma się czym przejmować. – Pijak podniósł szklankę i siorbnął, przełknął, znów siorbnął i znów przełknął.

– Jest mężatką? – Reacher nie dawał za wygraną.
– A co, od małżeństwa dostaje się krwotoku z nosa?
– Czasami. – Reacher pokiwał głową. – Kiedyś służyłem w żandarmerii. Czasami wyciągali nas z posterunku i wysyłali do kwater małżeńskich. Często bite kobiety łykają dużo aspiryny dla uśmierzzenia bólu. Aspiryna rozcieńcza krew, więc przy następnym łomocie nie mogą jej zatamować.

Pijak milczał.

Barman odwrócił głowę.

– A co? Często się to zdarza? – spytał Reacher.

– To tylko krwotok z nosa – mruknął pijak.

– Boi się pan mieszać do domowej awantury, tak?

Cisza.

– Może mieć też inne urazy – ciągnął Reacher. – Mniej widoczne. Jest pańską pacjentką.

Cisza.

– Krwawienie z nosa jest równie niebezpieczne, jak krwawienie z czegokolwiek innego. Jeśli się tego nie zatamuje, kobieta straci przytomność. Jak przy upływie krwi z rany od noża. Gdyby to była rana od noża, toby jej pan tak nie zostawił, prawda?

Cisza.

– Jak pan sobie chce. – Reacher wzruszył ramionami. – Nie moja sprawa. Zresztą i tak nic by pan nie poradził. W tym stanie nie może pan nawet pojechać do niej samochodem, obojętnie jak daleko stąd mieszka. Ale powinien pan do kogoś zadzwonić.

– Nie mam do kogo – mruknął pijak. – Najbliższa stacja pogotowia jest sto kilometrów stąd. Nie wyślą karetki sto kilometrów do krwawiącego nosa.

Reacher upił kolejny łyk kawy. Pijak tym razem nie sięgnął po szklankę.

– Jasne, że miałbym problem z dojechaniem – powiedział w zadumie. – Ale na miejscu bym sobie poradził. Jestem dobrym lekarzem.

- To strzeż mnie, Boże, przed złym.
- Na przykład wiem, co dolega panu. Znaczy, fizycznie.

Bo umysłowo się nie wypowiadam.

- Nie przeciągaj struny, kolego.
- Bo co?

Reacher nic nie powiedział.

- To tylko krwotok z nosa – powtórzył lekarz.
- I jak by pan temu zaradził? – spytał Reacher.
- Małe miejscowe znieczulenie. Trzeba zatkać gazą oba otwory nosowe. Ciśnienie powstrzyma krwawienie bez względu na to, czy jest po aspirynie, czy nie.

Reacher skinął głową. Pamiętał te sposoby z czasów służby wojskowej.

- No to jedźmy, doktorku – powiedział. – Ja pana zawiozę.

3

Chwiejąc się, doktor pomaszerował po płaskiej pustej podłodze takim krokiem, jakby wspinał się pod górę. Udało mu się jednak dotrzeć do wyjścia, a zimne powietrze nieco go otrzeźwiło. W każdym razie na tyle, by odnalazł kluczyki. Pomacał się po kieszeniach i wyciągnął sfatygowane skórzane etui z pękiem kluczy na kółku. Spękane złociste litery na etui układały się w napis DUNCAN TRANSPORTATION.

- Z tych samych Duncanów? – spytał Reacher.
- Mamy tu tylko jedną rodzinę Duncanów – burknął lekarz.
- I wszystkich pan leczy?
- Tylko ją. Jej mąż jeździ do Denver. A z tego, co mi wiadomo, jego ojciec i stryjowie leczą się sami korzonkami i jagodami.

Subaru kombi doktora było jedynym samochodem na parkingu i okazało się w miarę nowe i w miarę czyste. Reacher wymacał w etui pilota i odblokował drzwi. Lekarz ruszył do drzwi kierowcy, ale zreflektował się i zmienił kierunek. Reacher wcisnął się za kierownicę, odsunął fotel, uruchomił silnik i odnalazł włącznik świateł.

- Jedziemy na południe – powiedział lekarz.
- Reacher odchrząknął.
- Lepiej niech pan na mnie nie chucha. Ani na pacjentkę.

Wyciągnął ręce ku kierownicy tak niepewnie, jakby zamiast rąk miał rękawice baseballowe na długich patykach. Gdy udało mu się je oprzeć, zacisnął kurczowo palce i przez chwilę trzymał nieruchomo w nadziei, że naprężenie ramion zelżeje. Wyjechał z parkingu i skręcił na południe. Było zupełnie ciemno i po bokach nic nie było widać, ale Reacher wiedział, że w obie strony ciągną się niekończące się płaskie pola.

– Co się tu uprawia? – spytał, głównie po to, by lekarz nie przysnął.

– Kukurydzę, oczywiście. Wszędzie tylko kukurydza i kukurydza. Cholernie dużo kukurydzy. Więcej, niż mieści się w głowie człowieka zdrowego na umyśle.

– Jest pan stąd?

– Urodziłem się w Idaho.

– Tam z kolei ziemniaki.

– Lepsze to niż kukurydza.

– Więc co przywiodło pana do Nebraski?

– Małżeństwo. Żona się tu urodziła i wychowała.

Przez chwilę jechali w milczeniu, po czym Reacher zapytał:

– To co mi jest?

– Co?

– Powiedział pan, że pan wie, co mi dolega. W każdym razie fizycznie. No to słucham.

– Co to ma być? Jakiś sprawdzian?

– Niech pan nie udaje, że by się panu nie przydał.

– Idź pan do diabła. Funkcjonuję.

– To niech pan to udowodni.

– Wiem, co panu jest – powiedział lekarz. – Tylko nie wiem od czego.

– A co mi jest?

– Naciągnął pan sobie wszystko, od zginacza mięśnia *digiti minimi* po *quadratus lumborum* obustronnie i w miarę symetrycznie.

– Mógłby pan mówić po angielsku?

– Nadwyrężył pan sobie wszystkie mięśnie, ścięgną i więzadła uczestniczące w poruszaniu rękami, od czubków palców po zaczep na dwunastym żebrze. Jest pan cały obolały, czuje pan dyskomfort i pańskie zdolności motoryczne szlag trafił, bo wszystko w panu protestuje.

– Rokowanie?

– Wylize się pan.

– Kiedy?

– Za parę dni. Może tydzień. Niech pan łyka aspirynę.

Jechali w milczeniu. Reacher opuścił lekko szybę, chcąc, by pęd powietrza wywiały opary burbona. Minęli trzy stojące blisko siebie domy sto metrów od szosy, od której prowadził jeden wspólny podjazd. Wszystkie trzy miały wspólne ogrodzenie z prętów na metalowych słupkach; widać było, że całość jest dość wiekowa i czasy świetności ma już za sobą. Lekarz odwrócił głowę i obrzucił domy długim, ponurym spojrzeniem, po czym bez słowa przeniósł wzrok na drogę.

– A jak pan to zrobił? – zapytał.

– Co jak zrobiłem?

– Jak pan tak nadwyrężył ramiona?

– Pan tu jest lekarzem. Niech pan mi to powie.

– Dwukrotnie zetknąłem się z identycznymi objawami. Po jednym z huraganów na Florydzie zgłosiłem się na ochotnika. Nie jestem takim złym facetem.

– No i?

– Ci, których dopadła poza domem wichura wiejąca z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, albo się turlali po ulicy, albo próbowali czegoś się trzymać. To oznacza ciężar własny ciała kontra napór huraganu, a to potężne obciążenie. W rezultacie doznali takich właśnie urazów. Ale patrząc na pana, powiedziałbym, że pańskie mają nie więcej niż dwa dni. Mówił pan, że jedzie z północy, a stąd na północ nie było żadnych huraganów. Nie mówiąc o tym, że to nie jest sezon na huragany. Jestem gotów się założyć, że przez ostatni tydzień

nigdzie na świecie nie było huraganu. Ani jednego. I dlatego nie wiem, jak się pan tak urządził. Ale życzę szybkiego powrotu do zdrowia. Naprawdę szczerze panu życzę.

Reacher nie zareagował.

– Na następnym skrzyżowaniu w lewo – powiedział lekarz.

• • •

Po pięciu minutach dotarli do domu Duncanów. Dom był podświetlony od zewnątrz i nawet na białą skrzynkę na listy przy drodze świeciły dwa umieszczone po bokach reflektorki. Na skrzynce widniało napisane dużymi literami nazwisko DUNCAN. Dom wyglądał na zaadaptowaną wiejską chałupę. Nie imponował rozmiarami, był natomiast utrzymany w nieskazitelnym porządku. Od frontu rozciągał się pogrążony w zimowym śnie trawnik, na którym ustawiono starą dwukółkę na wysokich kołach ze szprychami i długimi dyszlami.

Podjazd kończył się przed oddzielnym dużym budynkiem, który w czasach rolniczej przeszłości mógł służyć za stodołę, teraz jednak mieściły się tu garaże z trzema boksami. Jeden z nich był otwarty na oścież, jakby ktoś wyjeżdżał w pośpiechu.

Reacher zatrzymał samochód przy ścieżce prowadzącej do wejścia do domu.

– Pora na pański występ, doktoru – powiedział. – O ile pacjentka wciąż tu jest.

– Na pewno jest.

– No to chodźmy.

Wysiedli z samochodu.

4

Lekarz wziął z tylnego siedzenia skórzaną torbę i ruszywszy ścieżką, powtórzył pokaz pijackiego chodu o tyle teraz uzasadnionego, że wysypana żwirem ścieżka była rzeczywiście trudna do pokonania. Udało mu się jednak bez pomocy Reachera dotrzeć do drzwi z pięknego starego drewna, które pokryto warstwą lśniącej białej farby. Reacher dostrzegł mosiężny przycisk dzwonka i wdusił go zgiętym palcem. Wewnątrz zabręczał elektryczny dzwonek, po czym zapadła cisza i dopiero po dłuższej chwili dobiegł ich odgłos powolnych kroków. Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich twarz.

Okolona czarnymi włosami twarz miała pobladłą skórę i wystraszone oczy, od nosa przez usta i szyję ciągnęła się i znikła pod bluzką czerwona pręga, nos był zakryty zakrwawioną chustką. Szyję zdobił sznur zakrwawionych pereł, bluzka była jedwabna i cała mokra. Kobieta odjęła chustkę od nosa. Miała pękniętą wargę i krwawe obwódki na zębach. Z nosa wciąż ciekła obfita strużka krwi.

– Jednak przyjechałeś – powiedziała.

Lekarz zamrugał, z wysiłkiem wytrzeszczył oczy i wykrzywiwszy usta, skinął głową.

– Trzeba to obejrzeć – wymamrotał.

– Piłeś – prychnęła kobieta. Przeniosła wzrok na Reachera. – A pan kto?

- Jego kierowca – wyjaśnił Reacher.
- Bo jest pijany?
- Poradzi sobie. Może nie pozwoliłbym mu operować mózgu, ale z krwotokiem z nosa sobie poradzi.

Kobieta skinęła głową, przyłożyła chustkę do twarzy i szerzej otworzyła drzwi.

• • •

Przeszli do kuchni. Lekarz był zdrowo zalany, ale przypadek nie należał do skomplikowanych, a jemu zostało wystarczająco dużo zawodowych odruchów, żeby sobie poradzić. Reacher moczył szmatki w ciepłej wodzie i podawał lekarzowi, który obmył twarz kobiety z krwi, wypełnił dziurki od nosa kawałkami gazy i opatrzył rozcięte wargi przyklepcami motylkowymi. Podał jej też środek przeciwbólowy, który sprawił, że była lekko oszołomiona. Trudno było ocenić stan jej twarzy. Nos bez wątpienia był już wcześniej rozbijany, ale poza tym miała gładką cerę, drobnokościstą twarz i duże ładne oczy. Była szczupła, dość wysoka i ubrana w sposób świadczący o zamożności. Zamożności dowodziło też wnętrze domu. Było przytulne. Po latach froterowania podłoga z szerokich desek uzyskała lustrzany połysk, pokoje zdobiły drewniane meble i gustowne drobiazgi w pastelowych kolorach. Na regałach stało mnóstwo książek, na ścianach wisiały obrazy, podłogi pokryto puszystymi dywanami. W salonie wisiało zdjęcie ślubne w srebrnej ramce. Widać na nim było młodszą i nienaruszoną wersję pani domu u boku wysokiego, patykowatego mężczyzny w szarym garniturze. Miał ciemne włosy, długi nos, błyszczące oczy i pewną siebie minę, ale nie sportowca czy robotnika, nie naukowca ani poety. A także nie rolnika. Raczej biznesmena. W każdym razie kogoś, kto spędza czas w zamkniętych pomieszczeniach. Kogoś pewnego siebie i pełnego energii, ale nie radości życia.

Reacher wrócił do kuchni i ujrzał lekarza myjącego ręce nad zlewem i panią domu szczotkującą włosy.

- Lepiej się pani czuje? – zapytał.
- Nie najgorzej – odparła przez nos.
- Męża nie ma w domu?
- Postanowił pojechać na kolację. Z kolegami.
- Jak ma na imię?
- Seth.
- A pani?
- Eleanor.
- Łyka pani aspirynę, Eleanor?
- Tak.
- Bo Sethowi często się to zdarza?

Przez dłuższą chwilę milczała, po czym wolno pokręciła głową.

- Potknęłam się – powiedziała cicho. – O róg dywanu.
- Kilka razy w ciągu ostatnich paru dni? O ten sam róg?
- Tak.
- Na pani miejscu pozbyłbym się tego dywanu.
- To już się na pewno nie powtórzy.

• • •

Posiedzieli dziesięć minut w kuchni, czekając, aż Eleanor pójdzie na górę, weźmie prysznic i się przebierze. Usłyszeli najpierw szum lejącej się wody i zaraz potem jej głos wołający z góry, że wszystko w porządku i że kładzie się już do łóżka. Wyszli, zatrzasnąwszy za sobą frontowe drzwi. Zataczający się doktor dotarł do samochodu i zwałił się na fotel pasażera, wciskając między nogi torbę lekarską. Reacher uruchomił silnik i na wstecznym biegu wyjechał na drogę. Skręcił kierownicę, wcisnął pedał gazu i ruszył tam, skąd przyjechali.

- Dzięki Bogu – powiedział lekarz.
- Że z nią wszystko w porządku?

- Że Setha Duncana nie było w domu.
- Widziałem go na zdjęciu. Na moje oko nie wygląda zbyt groźnie. Założę się, że ich pies to pudel.
- Nie mają psa.
- To taka przerośnia. Mogę sobie wyobrazić, że wiejski lekarz boi się wtrącać do rodzinnej awantury, którą urządza facet chodzący w podkoszulku, pijący piwo i trzymający na podwórku dwa bulteriery, które miotają się wśród starych gratów kuchennych i wraków samochodów. Ale Seth Duncan nie pasuje mi do tego obrazka.

Lekarz milczał.

- A jednak pan się go boi – ciągnął Reacher. – A więc jego siła bierze się z czegoś innego. Na przykład z pieniędzy albo władzy politycznej. Ma ładny dom.

Lekarz milczał.

- Na pewno on to zrobił?
 - Tak.
 - Jest pan tego pewny?
 - Tak.
 - I robił to już wcześniej?
 - Tak.
 - Ile razy?
 - Mnóstwo. Czasem ogranicza się do klatki piersiowej.
 - Zgłaszała to na policję?
 - Nie mamy tu policji. Mamy władze hrabstwa. Ale jest do nich sto kilometrów.
 - Mogła zadzwonić.
 - Nie chce składać skargi. Zawsze tak jest. Jeśli odpuszczają za pierwszym razem, to już po herbacie.
 - Dokąd ktoś taki jak Duncan może iść z kumplami na kolarcję?
- Lekarz nie odpowiedział, a Reacher nie ponowił pytania.
- Wracamy do motelu? – spytał lekarz.

- Nie, odwożę pana do domu.
- Dzięki. To bardzo uprzejme z pana strony. Tylko że ode mnie do motelu jest kawał drogi.
- To już nie moje zmartwienie. Zatrzymuję pański samochód. Może pan rano przyjechać po niego autostopem.

• • •

Osiem kilometrów przed motelem lekarz znów wlepił wzrok w trzy domy na końcu długiego podjazdu, potem odwrócił głowę i kazał Reacherowi skręcić w lewo, w prawo i znów w lewo, w drogę biegnącą skrajem ciemnego pustego pola, która doprowadziła ich do nowego domu pośrodku mniej więcej hektarowej pustej działki ogrodzonej płotem.

- Ma pan klucze? – spytał Reacher.
- Są na kółku z samochodowym.
- A jakieś inne?
- Żona mnie wpuści.
- Miejmy nadzieję. Dobranoc.

Reacher patrzył przez szybę, jak lekarz niepewnie pokonuje pierwsze metry podjazdu, potem zawrócił i ruszył do głównej szosy. Jeśli nie wiesz gdzie, skręcaj w lewo, brzmiało jego motto. Skręcił na północ, ujechał niecałe dwa kilometry, po czym zjechał na pobocze i zamyślił się. Gdzie taki facet jak Duncan może jeść kolację z kolegami?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).